NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 3 Katowice, 15-go stycznia 1933

Niedziela druga po Trzech Królach.

LEKCJA
z listu św. Pawła do Rzymian XII. 6—16.

Bracia! Mając dary wedle łaski, która nam jest dana różne, bądź proroctwo wedle przystosowania wiary, bądź posługiwanie w usługiwaniu, bądź kto uczy w nauce, kto napomina w napominaniu, kto użycza w prostości, kto przełożony jest w pieczołowaniu, kto czyni miłosierdzie z wesołością. Miłość bez obłudności. Brzydząc się złem, przystawając ku dobremu. Miłością braterstwa jedni drugich miłując; uczciwością jeden drugiego uprzedzając: W pilności nie leniwi, duchem pałający, Panu służący, nadzieją się weselący, w utrapieniu cierpliwi, w modlitwie ustawiczni, potrzebom świętych udzielający, w gościnności się kochający. Błogosławcie prześladującym was, błogosławcie a nie przeklinajcie: weselcie się z weselującymi płaczcie z płaczącymi. Toż jeden o drugim rozumiejąc: wysoko nie rozumiejąc, ale się z pokornymi zgadzając.

EWANGELJA
zapisana u św. Jana w rodziale II. od w. 1—11.

W on czas: Odbywały się w Kanie galilejskiej gody weselne, i była tam Matka Jezusowa. Zaproszono też na gody i Jezusa wraz z uczniami Jego. A gdy zabrakło wina, Matka Jezusowa rzecze do Niego: Wina nie mają. Jezus zaś odpowiada Jej: Mnie to zostaw Niewiasto; nie nadeszłaż jeszcze godzina Moja? Mówi tedy Matka Jego do sług: Zróbcie, cokolwiek wam poleci. A stało tam sześć stągwi kamiennych dla obrzędowych obmywań żydowskich; każda z nich zawierała po dwa lub trzy wiadra. Jezus mówi do nich: Napełnijcie stągwie wodą. — I napełnili je aż po brzegi. Jezus tedy rzecze im: Zaczerpnijcie teraz, i zanieście gospodarzowi wesela. I zanieśli. A kiedy gospodarz wesela skosztował wody, przemienionej w wino, — a nie wiedział, skądby się wzięło, wiedzieli zaś słudzy, co wodę czerpali, — odzywa się do pana młodego gospodarz wesela i mówi doń: Każdy człowiek najpierw stawia dobre wino, a gorsze dopiero, gdy sobie podpiją; ty zaś dobre wino zachowałeś na sam koniec! Taki to początek cudów uczynił Jezus w Kanie galilejskiej i objawił chwałę Swoją, — i uwierzyli weń uczniowie Jego.

NAUKA.

Na godach w Kanie Galilejskiej widzimy dzisiaj Zbawiciela naszego. Bóg-Człowiek nie pogardził zaproszeniem na ucztę. Idzie tam, gdzie radość i wesele, aby obecnością i pierwszym cudem uświęcić prawdziwą radość życia.

Bo istotą życia chrześcijańskiego i szczerej pobożności nie jest bynajmniej ponury smutek ale przeciwnie — szczęście i radość dzieci Bożych.

Świat szuka radości. Lecz czy ją dzisiaj zawsze znajduje?

Codziennie czytamy wielkie ogłoszenia, zapraszające na wieczory, zabawy, tańce...

I zdawaćby się mogło, że padół łez i płaczu zamienił się na raj zabawy i uciechy, że ustały klęski nędzy i bezrobocia, że słońce lepszej doli zaświeciło do suteren i poddaszy.

Lecz niestety! Inaczej przedstawia się rzeczywistość...

Widzimy dziś wprawdzie ludzi rozbawionych, lecz nie ujrzymy ich zadowolonych. Szukają szczęścia tam, gdzie go niema — w narkozie zabaw i uciech. Depcą nakazy moralne, w oszołomieniu zmysłów upatrują szczyt radości. — Nic więc dziwnego, że pustka, nuda i beznadziejność opanowują ich życie, gdy mija szał zabawy. Tym szałem chcą zabić sumienie i zagłuszyć jego krzyk. — Napróżno, daremnie!

Bo jedynie Chrystus jest rzecznikiem i źródłem prawdziwej radości. W Kanie Galilejskiej wchodzi do rodziny, wnosi do niej Swoje wesele i szczęście.

Jego obecności potrzeba dziś rodzinom naszym a nastanie tam radość wielka, czysta i trwała.

Chrystusowych zasad dziś potrzeba w domach chrześcijańskich, aby stały na straży świętości, wierności i uczciwości małżeńskiej.

Potrzeba miłości Chrystusowej, aby złączyć tą nicią serdecznej miłości rozluźnione węzły rodzinne.

Nietylko podczas modlitwy i pracy, ale również podczas zabawy i rozrywki pamiętaj, aby Chrystus mógł być twoim towarzyszem, aby i w twem życiu spełniły się Jego święte słowa: „Serce wasze będzie się radować, a radości waszej nikt wam nie odejmie“!

„Radujcie się w Panu!“

Dlaczego św. Franciszek Salezy jest Patronem głuchoniemych.

Najpiękniejszą postacią Odrodzenia katolickiego w XVI w. jest św. Franciszek Salezy, biskup genewski. Jego to obrali sobie głuchoniemi za swego patrona.

Z akt beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych tego wielkiego Świętego dowiadujemy się, że za jego przyczyną Pan Bóg uczynił mnóstwo cudów. Pomiędzy innemi uzyskało słuch i mowę także 19 głuchoniemych, jak to św. Joanna de Chantal pod przysięgą zeznała.

Ale nie dla tych cudów jedynie czczą głuchoniemi św. Franciszka jako swego patrona. Świętych Pańskich bowiem, którzy swem wstawieniem się u Boga przyczynili się do uzdrowienia głuchoniemych, legenda wymienia więcej, jak np. św. Elżbietę, św. Awita, św. Benedykta Opata, św. Maura, św. Sebastjana i innych.

Św. Franciszek Salezy, będąc biskupem, udał

się w r. 1605 do La Roche, małej wioski swej diecezji, celem wygłaszania tamże nauk wielkanocnych dla kapłanów i ludu. W La Roche dowiedział się, iż we wsi tej znajduje się pewien głuchoniemy, nazwiskiem Marcin, wiodący nader niewinne i cnotliwe życie, ale nie znający żadnych prawd wiary św. — Św. Franciszek poznał Marcina i postanowił zatrzymać go u siebie jako służącego. Gdy Świętemu zwracano uwagę, że niemowa będzie dlań wielkim ciężarem, odpowiedział św. Książę Kościoła: **„Będzie mi on przedmiotem, na którym będę mógł praktykować miłość bliźniego; im bardziej go Bóg dotknął, tem więcej on miłosierdzia potrzebuje.** Gdybyśmy byli na jego miejscu, czy chcielibyśmy, żeby się ludzie od nas odsuwali?“

Dzieki nieustannym wysiłkom świętego Franciszka, doszedł Marcin wnet nietylko do poznania tajemnic wiary świętej, lecz został dopuszczony także do spowiedzi i Stołu Pańskiego. Rozczulający to był widok, gdy Marcin przychodził do Biskupa, by mu się wyspowiadać. Oddalał on wtedy wszystkich obecnych, zamykał starannie wszystkie drzwi i okna, zaglądał we wszystkie kąty, czy kogo jeszcze nie zobaczy, upadał następnie przed Biskupem na kolana, gorzko płakał, bił się w piersi i gestami i migami wszystkie swe grzechy ujawniał. Rzewna ta spowiedź nieraz do łez wzruszała św. Biskupa. Po odbytej spowiedzi przystępował Marcin z taką pobożnością i widocznem wewnętrznem skupieniem do Stołu Pańskiego, że wszyscy obecni tem się budowali.

Pewnego wieczoru św. Biskup zawezwał Marcina do pokoju swego, w którym było zebrane liczne towarzystwo, i polecił mu wygłosić kazanie. — Marcin siadł na krześle, przeżegnał się i począł wygłaszać kazanie głosem nieartykułowanym, przyczem gwałtownie bił się w piersi. Z prawdziwą przyjemnością całe towarzystwo patrzyło na niego, jak on przedstawiał kradzież, morderstwo, obżarstwo, pychę, próżność kobiet i inne występki. Ażeby uzmysłowić ważność i doniosłość jakiej rzeczy, wznosił oczy i ręce ku niebu; ażeby zaś przedstawić, że występki prowadzą do piekła, zwracał się do ognia na kominku i okazywał znakami, jakoby wszystkich występnych ludzi chciał tam wrzucić.

Każdego wieczoru, przed udaniem się na spoczynek, robił ów biedny niemowa rachunek sumienia. Ukłonami oddawał cześć obrazom Pana Jezusa, Matki Najświętszej i Świętych, a potem żegnał się z wielkiem uszanowaniem wodą święconą. — Chodził też codziennie na Mszę św. i głęboko czcił Przenajświętszy Sakrament Ołtarza.

Gdy pewnego razu ktoś powiedział do świętego Franciszka, iż tak łatwo, jak doprowadził Marcina do zrozumienia tego, co mu gestami i migami mówi, również łatwo uzyskałby od Boga dla swego służącego słuch i mowę — z łagodnym uśmiechem odpowiedział Święty, że nigdy w nim nie powstała myśl zażądania od Wszechmogącego takiego cudu, ponieważ na tym dobrym człowieku spełniać może dzieło miłości.

Często też udawał się sam Biskup do głuchoniemego Marcina, by z nim na migi pogawędzić, trochę go rozweselić i w ten sposób zmniejszyć jego niedolę. Postępował tak, jak najczulsza matka, chcąca ukoić i pocieszyć w smutku ukochane swoje dziecię. Służbę napominał, by z Marcinem obchodziła się z największą troskliwością, a gdy się dowiedział, że mu wyrządzono jaką przykrość, wypytywał zaraz, czem mu kto dokuczył i starał się złe jaknajprędzej i najlepiej załagodzić.

Lecz i Marcin czuł się względem swego dobroczyńcy obowiązanym, okazując św. Biskupowi swoje przywiązanie i miłość bez granic. Gdy go ujrzał zdaleka, wracającego do domu, wybiegał naprzeciwko niemu i tysiącznemi znakami okazywał mu swą radość.

Tak stał się św. Franciszek wzorem, jak należy się obchodzić z ułomnymi. Historja szkolnictwa dla głuchoniemych zna dużo kapłanów, którzy, idąc śladami św. Franciszka, w czasach dawniejszych, kiedy jeszcze nie było szkół dla głuchoniemych na świecie, bezinteresownie zajmowali się nauką głuchoniemych. Najwybitniejszym z nich jest ksiądz l'Epee, który założył w Paryżu pierwszą na świecie szkołę dla głuchoniemych.

Tak jak św. Franciszek uczył Marcina, a ksiądz l'Epee swego Teodora, tak też i w Polsce ksiądz Jakób Falkowski, założyciel warszawskiego instytutu dla głuchoniemych, miał swego Piotra.

Św. Karol Boromeusz.

1538 — 1584.

Wystąpienie Marcina Lutra i jego zwolenników spowodowało z jednej strony zgubny dla całości Kościoła ruch sekciarski, a z drugiej strony wywołało rozbicie wśród wielu narodów europejskich na dwa wrogie obozy i w następstwie tego krwawe walki religijne. Zło panoszyło się. Wzrastał zamęt. Nowinkarstwo religijne coraz boleśniejsze szkody wyrządzało jedności Kościoła. Trzeba było myśleć o zaradzeniu złu. Rolę tę miał spełnić Sobór Trydencki. Pomimo licznych trudności sobór ten zwołano i zaczęte dzieło doprowadzono do pomyślnego końca. — Uchwały Soboru Trydenckiego miały usunąć te wszystkie czynniki, które sprzyjały rozwojowi sekciarstwa. Uchwały te trzeba było wprowadzić w życie, by mogły wydać pożądany plon. Niezaprzeczenie wielkie zasługi położył tu Karol Boromeusz, kardynał i biskup Medjolanu (Włochy Półn.).

Zaczął swą karjerę wcześnie, bo w dwudziestym pierwszym roku życia jako tajny sekretarz swego wuja papieża Piusa IV. Odznaczał się bystrością rozumu, wielką siłą charakteru i głęboką pobożnością. Już wcześnie zdradzał wybitne zdolności rządzenia. Pomimo zaszczytów i bogactw nie daje się skusić do używania życia, lecz z zapałem oddaje się ciężkiej i odpowiedzialnej pracy. Zajmuje się sprawami kancelarji stanu, dyplomacji papieskiej, sprawami zarządu państwem kościelnem.

Nagła śmierć brata, wywiera na nim głębokie wrażenie. Skłonny do umartwień umysł Karola widzi marność wszystkich czysto ziemskich dążeń, tak, że postanawia zniszczyć w sobie ziemskie przywiązania i dać swemu życiu kierunek wyłączny ku najwyższym celom. W kilka miesięcy później przyjmuje święcenia kapłańskie. Uzupełnia swoje wiadomości z teologji i filozofji, pracuje jeszcze więcej. Przez pewien czas myśli porzucić zajmowane stanowisko i wstąpić do zakonu Kamedułów. Zaniechał jednak tego, lecz pokryjomu oddaje się najcięższym cierpieniom pokutnym. Posty, umartwienia i ciężka praca nawet nadwerężają jego zdrowie.

Jako sekretarz stanu, a później biskup medjolański, stara się usilnie o wprowadzenie w życie

uchwał Soboru trydenckiego, przypisując im wielkie znaczenie dla życia Kościoła. Zaczyna od siebie. Stara się o prostotę i surowość trybu swego życia, ćwiczy się w głoszeniu kazań. Jako biskup medjolański opracowuje na podstawie uchwał trydenckich szereg ustaw dla swej diecezji, organizuje synody diecezjalne. Synody te wnosiły ożywczy prąd w pracę duchowieństwa, a kazania głoszone wiernym w czasie trwania synodów rozpalały w ich sercach ogień miłości Bożej. W trosce o wychowanie młodego pokolenia księży zakłada liczne seminarja. Poświęca dużo uwagi szkołom, w których nauczano obok zasad wiary i wiedzy świeckiej. W pracy duszpasterskiej stał się wzorem dla biskupów czasów potrydenckich. Walkę z władzą świecką o prawa Kościoła prowadzi z niezrównanym spokojem i męstwem i wreszcie odnosi zwycięstwo.

Dość niespodziewanie, w drodze do Askony, gdzie miał przewodniczyć w otwarciu kolegjum, zabiera go śmierć. Zostawia po sobie wspomnienie męża w blasku cnót charakteru, który życie swe oddał pracy nad wykonaniem uchwał trydenckich i wywarł olbrzymi wpływ na przebudowę życia Kościoła w czasach potrydenckich.

Styczeń.

Nazwę tego miesiąca wywodzi się zazwyczaj stąd, że na jego początku „styka się“ stary rok z nowym. Bodaj czy słusznie.

Dawni Polanie rozróżniali tylko pory roku; obok tego oznaczali krótsze przeciągi czasu, zależnie od zajęć gospodarskich, od zjawisk przyrody w świecie roślinnym i zwierzęcym. Dopiero chrześcijaństwo przyniosło naszym przodkom podział roku na 12 miesięcy, zgodnie z kalendarzem rzymskim. Wszelako ten 12-miesięczny rok kościelny nie rozpoczynał się pierwotnie z dniem Obrzezania Pana Jezusa. Co do tego bywało w poszczególnych krajach różnie. W Anglji np. przypadał Nowy Rok jeszcze przed 160 laty na dzień 26 marca, we Francji aż do 16 wieku na Wielkanoc, w Rosji do połowy 13 wieku na 1 marca; u nas w Polsce zaś na 25 grudnia.

Dopiero od roku 1364 zaczyna dzień Obrzezania Pańskiego występować u nas jako „Nowe Lato“, jak wówczas mawiano. Potrzeba było jednak dalszych 100 lat, zanim się to stało powszechnym zwyczajem w naszym kraju. Gdyby tedy miano stycznia miało pochodzić od stykania się nowego roku ze starym, przysługiwałoby raczej grudniowi, jako, że na jego końcu stykają się nowy rok ze starym, a kiedyś stykały się w ciągu tego miesiąca, bo w Boże Narodzenie, które było u nas za dawnych czasów zarazem „Nowem Latem“. Ślady po tem pozostały w zwyczaju godzenia służby w Drugie Święto Bożego Narodzenia, przestrzeganym kiedyś ogólnie. „Na święty Szczepan każdy sobie pan“.

Kalendarz rzymski, zaprowadzony u nas przez Kościół, obowiązywał pierwotnie tylko w życiu kościelnem i na dworach książęcych. Tam przyjęto bez zmian także łacińskie nazwy miesięcy, z których nam dwie pozostały do tej pory: marzec i maj. Zaczęto je wprawdzie zastępować mianami swojskiemi, które odpowiadały mniejwięcej czasom, na jakie łacińska nazwa przypadała. Atoli nie było w tem jeszcze nic stałego; nazwy miesięcy zmieniały się i chwiały — tak np. zaczynano rok ongiś miesiącem lutym. — Ustaliły się one dopiero w 16-tym wieku. Wtedy to przywarło na dobre miano „stycznia“ do pierwszego miesiąca roku.

Nazywał się on pierwotnie „tyczniem“, a wziął tę nazwę najniezawodniej od tyczenia i tyk. Były to bowiem rzeczy bardzo ważne w dawnem gospodarstwie domowem i leśnem. Mniejsze tyczki czyli drobne gałązki i gałęzie dostarczały opału; i dziś jeszcze w nadwiślańskich nizinach na Pomorzu wiąże się o tej porze gałązki wierzbiny w miotełki na całoroczną żertwę pieców i ognisk kuchennych. Tyczek było potrzeba, tak samo jak dziś, na podpory groszku i fasoli, dłuższych żerdzi zaś na podpory chmielu szlachetnego, którego hodowano dużo na warzenie piwa, napoju niegdyś tak ogólnie używanego, że go nazwano poprostu napojem — piwem, t. j. tem, co się pija. Tyki szły na dachy domów mieszkalnych i zabudowań gospodarczych, gdyż były one wtedy po wsiach a i w mniejszych miastach kryte słomą. Co lepsze, trwalsze tyki przeznaczano na dzidy.

Sporo tyk zużywano też na karby, gdyż w czasach, gdzie umiejętność pisania była rzadką, notowano wykonywaną robociznę karbami. Były to pręty rozpłatane wzdłuż; jedną połowę miał robotnik, a drugą pan lub jego ekonom; po skończonej dzionce składano obie połowy akuratnie jedną z drugą i ekonom wycinał na nich w poprzek w oczach robotnika znak umówiony, zwany karbem, potem zabierał każdy swoją połowę z sobą; a gdy przyszło do porachunku, składano znów obie połowy pręta i liczono wspólnie ilość zakarbowanych dni pracy. Był to kiedyś zwyczaj ogólny i pochłaniał ogromne ilości tyk karbowych.

Wreszcie potrzeba było tyk „średziennych“. Tak nazywały się drugie żerdzie, koło których stawiano mielerze, czyli stogi drzewa, przeznaczonego na wyrób smoły. Posługiwali się niemi jeszcze przed 50 laty smolniki i w naszych borach pomorskich, żeby zapewnić dostateczny dopływ powietrza do ognia w mielerzu... dopóki się u nas nie zaprowadziły fabryczne wyroby smolne. Dawniej stanowił ten przemysł niepoślednią gałęź gospodarstwa leśnego.

Zapotrzebowanie tyk było zatem różnorakie; odgrywały one w życiu gospodarczem poważną rolę. A zajęcia koło nich były najgłówniejszą, owszem poza młóceniem jedyną robotą w porze zimowej. Cóż dziwnego, że okres tych robót nazwano „tyczniem“? Najodpowiedniejszym czasem na obcinanie gałęzi i na poręby wogóle jest bowiem pora twardych mrozów, kiedy soki ze słojów drzewnych odpłynęły w ziemię. Wiedzieli o tem ojcowie nasi, bo mawiali: „Jeśli mróz tęgi, szczep gonty i dęgi (czyli klepki). Radź o drzewie i stodole“. Otóż miesiąc styczeń uchodził zdawna za najbardziej mroźny. Świadczą o tem stare przysłowia:

Styczeń — do pieca się przyczyń!
Na Trzech Króli, każdy do pieca się tuli.
W dzień świętej Pryski (dnia 18 stycznia) mróz zaziera do miski.

Styczniowe mrozy nastręczały jeszcze jeden użytek z tyk, a mianowicie na wykreślanie dróg i oznaczanie granic, zwłaszcza większych obszarów. Wiadomo, bowiem, że dawniej było u nas w kraju bez porównania więcej moczarów i trzęsawisk, niż dziś. Map zaś nie było, podług których możnaby wskazać dokładnie drogę czy granicę. Nadający więc jakąś włość, przeszedł po jej kraju lub przejechał wierzchem (konno), a drogę tę oznaczano narazie tykami; stąd wyraz: „wytyczać granice“. W bardzo wielu miejscach trzeba było z tem wytyczaniem zaczekać aż do mrozów i lodów, gdyż

w innym czasie nie przebrnąłby tam ni pieszo, ni wierzchem. Czemużby więc miesiąc, nadający się wyjątkowo na tyczenie czyli wytyczanie granic, nie miał się nazywać „tyczeń"?

Jakiem prawem przemianowany został dawny „tyczeń" na dzisiejszy „styczeń", nie warto na tem miejscu wyjaśniać; wymagałoby to bowiem wywodów już wybitnie naukowych, a tem samem dla ogółu mało zajmujących. Wystarczy sobie uświadomić, że język nasz, jako żywy, ulega z konieczności przemianom. I tak istnieją w narzeczach ludowych strzewik — trzewik, krzynia — skrzynia, krzydło — skrzydło, krzele — skrzele krzeczek — skrzeczek, strzewy — trzewia, strzoda — trzoda. Jest wieś Bysław czyli Zbysław; są rodziny Tyczyńskich obok Styczyńskich i Tyków obok Styków. Był kiedyś tyczeń obok stycznia, ale został z biegiem czasu pod wpływem kalendarzy wyparty z pism i z mowy potocznej.

Tak nam się przedstawia rodowód nazwy pierwszego miesiąca.

(„Pielgrzym".) X. J. Cz.

Trzej Królowie.

Spotkały się ich wielbłądy na piaskach pustyni... Wieźli ze sobą dary wspaniałe, kosztowne, godne monarchów Wschodu. Nad ich głowami iskrzył się firmament miljardem gwiazd, niby pyszny kobierzec złotem haftowany. Królowie z dalekich krain jechali w skupieniu.

W srebrzystej poświacie nocy zarysowały się na horyzoncie potężne kontury jakiegoś grodu, z kopułami i basztami.

Wkrótce potem Kasper, Melchior i Baltazar wjechali do bram Jerozolimy...

Nazajutrz — po krótkim spoczynku w słynnej stolicy Dawida, w dalszą puścili się drogę. I znowu szła przed nimi tajemnicza gwiazda, niby jasny Archanioł — przewodnik. Ale już niedługo. Zatrzymała się nagle w miejscu. Jej promienie złociste oblały jasnem światłem maleńką grotę w Betlejem. Zdumieli się monarchowie, szopę ujrzawszy z bydlęty...

Zdumieli się bardziej jeszcze, go poznali, iż to Zbawiciel świata spoczywa na sianku. Więc zdjąwszy korony ze złota, uderzyli czołem u stóp betlejemskiej Dzieciny... Zaczem dary złożyli królewskie.

Z sercem wezbranem radością, że oglądali Zbawiciela świata, z błogosławieństwem małego Jezusa, wracali do swych krajów. Wieźli już teraz nie dary kosztowne, lecz dobrą o narodzeniu Chrystusa nowinę. Że zstąpiło na ziemię zbawienie i pokój dla wszystkich, co „dobrej są woli".

Wracali do swych domów, do swoich poddanych aby im zanieść światło, którego nie znali...

Oto są pierwsi pogan misjonarze!...

*

O jakże wielkie i święte jest posłannictwo Kościoła, który w osobach swych pierwszych Apostołów otrzymuje z ust Mistrza wezwanie: „Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody"... Opowiadajcie Ewangelję waszemu stworzeniu!

Odtąd, posłuszne temu wezwaniu, spieszą przez całe stulecia zastępy pełnych poświęcenia misjonarzy w odległe kraje pogańskie, jęczące w niewoli grzechu i ciemnościach błędu. Płonąc miłością Chrystusa, przebiega św. Paweł cały świat niemal ówczesny, by głosić Ukrzyżowanego i Jego naukę. Wraz z tym „Apostołem narodów", rozwija i Piotr św. niezmordowaną działalność misyjną, jakoteż reszta Apostołów....

Gdy runął w gruzy kolos państwa rzymskiego, a hordy ze Wschodu zalały Europę podejmuje Kościół misje, nawrócenia tych ludów barbarzyńskich do prawdziwej wiary, dając im jednocześnie zaczątek oświaty. Apostołuje w Niemczech Bonifacy św., a u nas św. Wojciech, biskup by potem u pogańskich Prusaków śmierć ponieść męczeńską. Apostołują Dominik święty i Franciszek z Asyżu, pierwszy gromiąc herezje, drugi nawracając niewiernych. Przychodzi potem (wiek XVI) św. Franciszek Ksawery, by rzucić Indje do stóp Chrystusa. Każdy wiek nowe przynosi triumfy. Mnożą się całe rzesze dusz gorliwością natchnionych, by nieść w kraje pogańskie światło Ewangelji. Dziś misje katolickie mają już swoją historję. Japonja, Chiny, Afryka, wyspy Oceanu Spokojnego, Australja, Syberja, Ameryka, wszędzie tam dociera stopa misjonarza, by ratować dusze, za które Chrystus krew przelał na krzyżu. Nic nie odstrasza tych bohaterów prawdziwych, stokroć większych niż ci, którym świat stawia posągi z marmuru. Ani choroby zaraźliwe, które w krajach gorących tak często grasują, ani niedostatek, ani nieustanna groza śmierci z rąk fanatycznych krajowców i to śmierci często pośród tortur straszliwych, ani praca często nad siły. Wiedzą bowiem, że wartość duszy ludzkiej jest tak bardzo wielką, iż żadna ofiara, poniesiona dla jej zbawienia, nie będzie ani trudną, ani przykrą. To też czyta się często o męczeństwach misjonarzy, mrożących zaiste krew w żyłach. Wbijają ich na krzyż, palą na stosie, obcinają język i uszy, poją przymusem wodą tak długo, dopóki ofiara nie wyzionie ducha. Wszystko to jednak nie gasi ducha ofiary. Na opuszczone placówki spieszą nowi ochotnicy...

Jak powstały Jasełka?

Twórcą jasełek był święty Franciszek z Asyżu. On to uprosił w roku 1223 papieża Honorjusza by mu pozwolił obchodzić święta Bożego Narodzenia w sposób dotąd nieznany. Na uroczystości owe wybrano dużą grotę skalną w uroczym lasku, obok Asyżu. W grocie tej ustawiono żłóbek, dokoła którego stanęli Marja z Józefem, oraz aniołowie o tęczanych skrzydłach. Do żłóbka przywiązano wołu i osła. Aby zaś, w czasie ofiary mszy św. Boska Dziecina rzeczywiście była obecna, postawiono przed żłóbkiem wspaniały ołtarz. O północy tłumy 'udu przy świetle pochodni ściągały do groty na to niezwykłe, a piękne nabożeństwo. Święty Franciszek jako diakon w asyście mszy św., odprawianej przez jednego z Braci, odśpiewał ewangelję o dobrej nowinie: „Nie bójcie się, bo oto opowiadam wam wesele wielkie, które będzie wszystkiemu ludowi, iż się wam dziś narodził Zbawiciel. A ten da wam znak: znajdziecie dzieciątko uwinione w pieluszki i położone w żłobie".

A później, gdy Święty kazał do tłumów „Kochajmy Dzieciątko z Betlejem", i gdy wskazywał drogi, wiodące do dóbr najwyższych, to łzy przesłaniały jego oczy, serce gorzało miłością, a usta ilekroć chciały wymówić imię Jezus, tylekroć wielką siłą wypowiadały te słodyczy pełne wyrazy: kochajmy Dzieciątko z Betlejem.

W pustym żłóbku pojawiło się śliczne dzieciątko; to uśmiechało się, to mrużyło oczęta, to znów głaskało rączką natchnione oblicze i szorstki habit biedaczyny Chrystusowego. Z piersi tłumów popłynął okrzyk radości...